

BRIGID KEMMERER

Trafi w ręce księcia, słynącego z okrutnych metod
rozprawiania się z więźniami.
Czy młody władca okaże jej łaskę?

NA
PRZEKÓR
NOCY

Na przekór nocy #1



Tytuł oryginału

Defy the Night

Copyright © 2021 by Brigid Kemmerer

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo Nowe Strony

Oświęcim 2022

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Julia Deja

Korekta:

Magdalena Mieczkowska

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwyczajnie.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-993-6

BRIGID KEMMERER

NA PRZEKÓR NOCY

NA PRZEKÓR NOCY #1

**TŁUMACZENIE
SYLWIA GOŁOFIT-LEND**

OŚWIĘCIM 2022

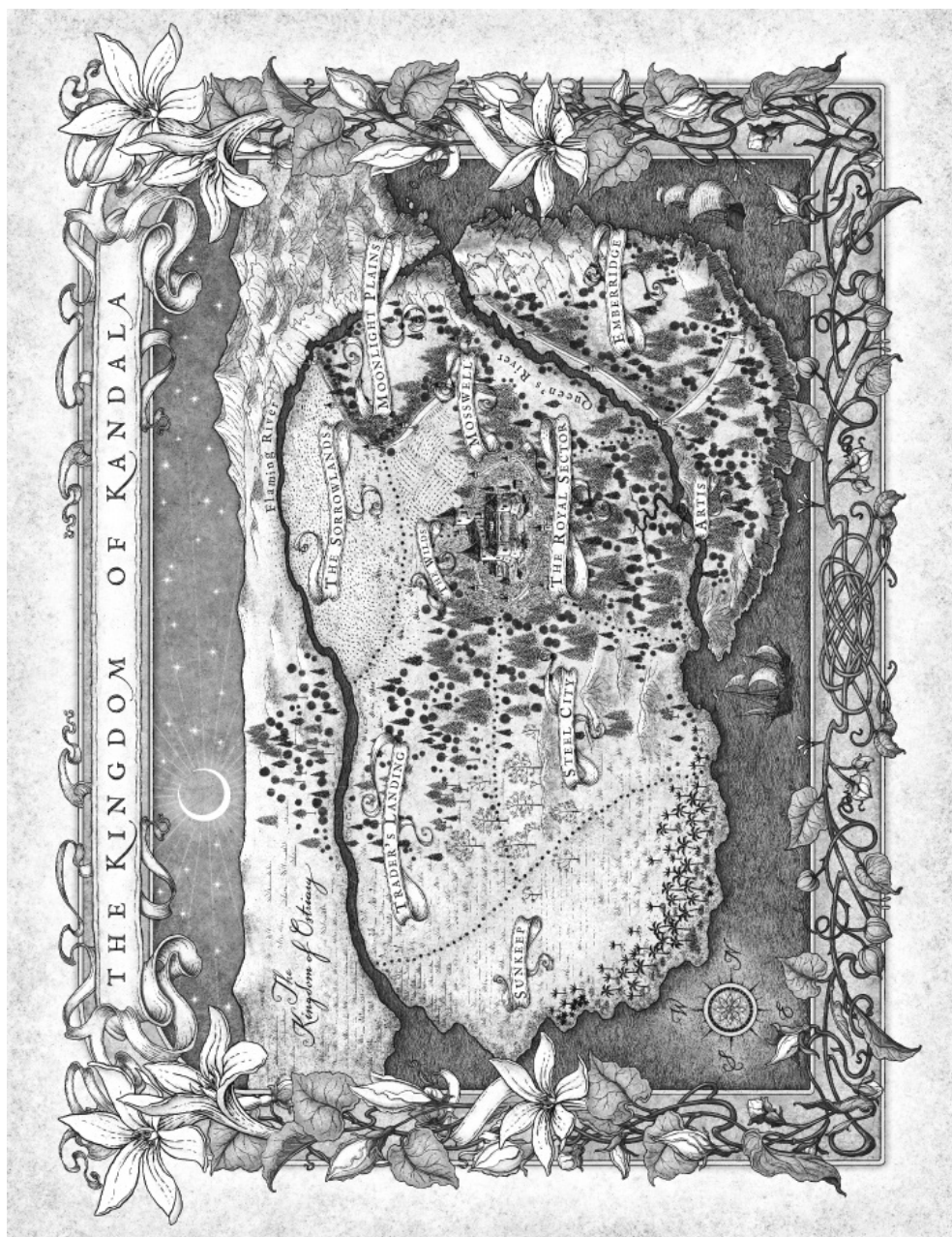
*Dla pani Pat Bettridge
i
pani Nancy Vaughan
– dwóch niezwykłych nauczycielek, które pokazały mi,
jaką siłę może mieć słowo pisane*

Liderzy polityczni Kandali		
Nazwisko	Rola	Sektor
Król Harristan	król	królewski
Książę Corrick	Najwyższy Sędzia Królewski	królewski
Barnard Montague (zmarły)	konsul	Nabrzeże Kupców*
Allisander Sallister	konsul	Księżycowe Równiny
Leander Craft	konsul	Stalowe Miasto
Jonas Beeching	konsul	Artis
Lissa Marpetta	konsul	Emberridge
Roydan Pelham	konsul	Kraina Smutku
Arella Cherry	konsul	Sunkeep
Jasper Gold	konsul	Mosswell

*Zwane także Nabrzeżem Zdrajców po tym, jak poprzedni król i królowa zostali zamordowani przez konsula Montague, pozostawiając władzę w ręku Harristana i jego młodszego brata Corricka.

Wyjęci spod prawa	
Nazwisko	Rola
Tessa Cade	zielarka
Weston Lark	pracownik kuźni
Lochlan	buntownik
Benefaktorzy	nieznani

Lek
Jedyny znany lek na chorobę nazywaną „gorączką” to eliksir sporządzany z suszonych płatków Księżycowego Kwiatu, który rośnie tylko w dwóch sektorach – na Księżycowych Równinach i w Emberridge. Każdy sektor dostaje ograniczony przydział płatków Księżycowego Kwiatu. Ci, których na to stać, mogą je kupić. Ci, których nie stać – nie mogą.



Rozdział pierwszy

Tessa

Najtrudniejsza w tym wszystkim nie jest sama kradzież. Najtrudniejsza jest ucieczka. Gdy mam dobry dzień, wspięcie się na mur Sektora Królewskiego zajmuje mi dwie minuty, jednak dziś noc jest zimna i palce mi drętwieją. Za godzinę zacznie świtać, a reflektor wartownika prześlizguje się po wysokich kamiennych murach w równych odstępach czasu. Ukryta w ciemności, mocno ściskając pod pachą starą torbę zielarską mojego ojca, czekam na sposobność.

Słyszałam o elektryczności w kilku sektorach, w miejscach zamieszkałych przez najbogatszych, ale i tak zaskakuje mnie intensywność światła patrolujących mur. Są jaśniejsze niż jakakolwiek świeca, jaśniejsze nawet niż stopy pogrzebowe, jakie rozpala się w miastach, by spalić zmarłych. Gdy pierwszy raz je zobaczyłam, byłam jak zahipnotyzowana. Wpatrywałam się w nie bezmyślnie, nie zdając sobie sprawy, że oznaczają one zagrożenie. Przez długi czas bezskutecznie próbowałam znaleźć jakąś prawidłowość w ich ruchu, aż w końcu powiedziałam o tym Westonowi. Chrząknął i stwierdził, że nie ma w tym żadnej reguły, po prostu znudzeni wartownicy kręcą reflektorem wkoło.

Przez ostatnią godzinę kręca nim dość miarowo.

Rozprostowuję palce i próbuję sobie oszacować w głowie czas trzech minut, potem przygryzam wargę i zastanawiam się. Światło powraca na tę część muru nie rzadziej niż co dwie minuty.

Wes pewnie jest już w chacie i czeka na mnie. Potrafi pokonać mur w trzydzieści sekund. Dzięki swojemu wzrostowi może pod-

skoczyć, zahaczyć swoją kotwicą o kolce na szczycie, zaprzeć się o niego nogami i wskoczyć na górę jak kot. Zazdroszczę mu, choć lubię też patrzeć, jak to robi. To naprawdę urzekający widok.

Oczywiście nigdy mu tego nie powiem. Musiałabym wysłuchiwać jego komentarzy do końca życia.

Urzekający, Tesso? To tylko mur. Nic takiego. A potem wszedłby na drzewo albo zrobił gwiazdę na dachu chaty, albo zaczął chodzić na rękach.

I musiałabym go walnąć, żeby nie zobaczył rumieńca wylewającego się spod mojej maski, bo *tak, owszem*, to wszystko jest równie urzekające.

Muszę przestać myśleć o Wesie. A te światła wartowników muszą przestać się obracać. Muszę zrobić swoje, bo stracimy kilka dni kuracji. Niektórzy ludzie nie mają tyle czasu. Niektórzy nie mają nawet kilku godzin.

Tyle że najpierw trzeba się stąd wydostać. Gdyby mnie złapano z torbą pełną płatków Księżycowego Kwiatu, król Harristan i jego brat, książę Corrick, przywiązaliby mnie w pałacowym ogrodzie, żeby ptaki wydziobały mi wszystkie wnętrzności.

Nagle światło zatrzymuje się z dala ode mnie, w zaułku, gdzie mur okrywa cień rzucany przez pagórek. To tamtędy zwykle próbują uciekać amatorzy.

Nie zamierzam zmarnować tej okazji. Wyskakuję z mojej kryjówki jak wystraszony królik, z kotwicą w dłoni gotową do rzu-
tu. Nie potrafię jej zarzucić aż na kolce jak Wes, tylko do metalowych klamer znajdujących się w połowie wysokości. Kotwica leci ze świstem, ruszam jeszcze zanim lina się napnie. Buty skrobia o kamień, gdy wspinam się po murze, ślizgając się nieco na granicie. Chwytam za klamrę – jest niewielka, wystarczająca, by dać oparcie, kiedy odpinam kotwicę i zarzucam jeszcze raz, tym razem już na szczyt. Gdy zahacza o kolce, ruszam w górę.

Światło znów zaczyna się przesuwąć.

Wciągam gwałtownie powietrze i zmuszam stopy, by niosły mnie szybciej, wyżej. Torba obija się o zebra przy każdym poślizgnięciu, ale po chwili znów idę w górę muru. Ręce pieką od liny. Światło omiata mur tuż obok, nagle oślepia mnie jego blask.

Już jestem po drugiej stronie, spuszczam się po linie do połowy wysokości, a potem spadam na leśną ściółkę jak worek kartofli. Pociągam za sznur i hak ląduje tuż obok mnie z lekkim brzękiem, zderzając się ze zwirem. Błoto i okruchy skał przylepiają się do mojej samodziałowej spódnicy, lecz nie mam odwagi nawet drgnąć, a co dopiero się otrząpywać. Serce podchodzi mi do gardła, wali jak oszalałe. Wstrzymuję oddech i czekam, spodziewając się, że wartownicy podniosą alarm.

Ale nie. Blask przesuwają się po krawędzi muru, a snop światła reflektora wędruje dalej.

Przetykam z trudem ślinę i podnoszę kotwicę. Na niebie widać sierp księżyca, jednak horyzont nabiera już purpurowej barwy – to znak, że zwlekałam zbyt długo i zostało mi niewiele czasu. Z wprawą przemykam przez las, stąpając bezgłośnie po sosnowych igłach. Zwykle w tym miejscu czuję już dym z pieca, bo Wes zawsze jest pierwszy w chacie. Mamy taki system: on nastawia kociołek i uciera płatki na eliksir, a ja odważam i porcjuję proszek, by dawka była odpowiednia. Potem on nalewa gotowy płyn do fiolek, ja pakuję je do naszych toreb i każde rusza na swój obchód.

Ale dziś nie czuję zapachu palonego drewna.

Kiedy docieram do chaty, Westona w niej nie ma.

Wracam myślami do momentu, kiedy światło zatrzymało się na murze. Serce znów podchodzi mi do gardła.

Wes nie jest głupi. Nie przechodziłby w zaułku. Zresztą wartownicy nie podnieśli alarmu.

Lecz nadal go tu nie ma, mimo że ja dotarłam później niż zwykle.

Rozpalam ogień i staram się nie martwić. Słyszę w głowie jego głos, który każe mi zachować spokój. *Nie trać ducha, Tesso.* To

pierwsze słowa, jakie od niego usłyszałam tamtej nocy, gdy uratował mi życie. Od tamtej pory powtarzał je wiele razy.

Nic mu nie jest. Na pewno nic mu nie jest. Zdarza się, że w ogóle nie udaje nam się spotkać, wtedy jedno z nas czeka kwadrans w chacie, a potem rusza na obchód. Pani Solomon czasem zatrzymuje mnie dłużej przy warzeniu, odmierzaniu i odważaniu leków ziołowych, które, według jej zapewnień, mają pomóc jej klientom, co się rzadko zdarza. Czasem kowal, u którego pracuje Weston, potrzebuje go w kuźni wcześniej, ponieważ jakiś rozpuszczony panicz musi natychmiast dostać nowy miecz albo jego koń zgubił podkowę. To się już zdarzało.

Ale Wes był tu wcześniej. I zawsze wraca pierwszy.

Chata jest mała i po rozpaleniu ognia szybko się nagrzewa. Nie ma tu elektryczności, więc jest dość ciemno, na szczęście nie potrzebuję dużo światła. Staram się skupić na pracy, żeby się nie zamartwiać. Ucieram każdy płatek na proszek, potem dokładnie przesypuję co do okruszka na szalkę wagi. Nawet po wysuszeniu ich zapach jest bardzo intensywny. Bogacze słono płacą za każdy gram, a potem marnują go, pijąc eliksir trzy razy dziennie – nawet ci bez żadnych objawów choroby. Król nazywa to „*środkami zapobiegawczymi*”. Picie eliksiru tylko raz dziennie jest więcej niż wystarczające. Mam notatki, które to potwierdzają. Nawet Wes na początku rozprawdzał zbyt duże dawki, aż mu pokazałam, że mniejsze są równie skuteczne, a możemy w ten sposób pomóc większej liczbie potrzebujących. Mój ojciec nazwałby to marnotrawstwem. Marnotrawstwem dobrego leku, podczas gdy wielu umiera, bo nie stać ich na jego kupno.

Ale mój ojciec dostał karę śmierci za zdradę i przemyt, więc ja w ogóle tego nie nazywam. Po prostu robię, co mogę.

Patrzę w okno. Purpurowy horyzont rozjaśnia się, przybierając kolor bladego różu. Mój wzrok wędruje na drzwi, jakby to miało sprawić, że pojawi się w nich Wes.

Nie pojawia się. Czajnik gwizdże. Odlewam małeńkie porcje wody i odmierzam po piętnaście gramów sproszkowanych płatków. Dodaję jeszcze po dwie krople olejku różanego na kaszel; odmierzam go niemal tak samo precyzyjnie jak płatki Księżycowego Kwiatu. Staram się nie kraść tego, co można zdobyć legalnie, jednak na olejek różany idzie prawie cała moja tygodniówka, więc nawet Wesowi nie pozwalam go używać samodzielnie.

Gdy proszek z płatków i olejek połączą się już z wodą, dorzucam odrobinę kurkumy, która pomaga obniżyć gorączkę, przez co lekarstwo jest bardziej skuteczne, a na koniec listek mięty i szczyptę cukru. Dorosłych zwykle nie trzeba przekonywać do przyjęcia lekarstwa, co innego dzieci. Nie można ryzykować, że z powodu smaku je wypłują i zmarnują.

W Sektorze Królewskim rozlega się dźwięk syren alarmowych i krzyki. Podskakuję tak gwałtownie, że przewracam czarstkę. Złapał kogoś.

Wesa.

Powinnam tam pobiec i zobaczyć. Nie – raczej powinnam uciec i się ukryć.

Moje ciało odmawia jednego i drugiego, zastyga.

Nie trać ducha, Tesso.

Muszę się ruszyć. Muszę dokończyć pracę. Elik sir jest skuteczniejszy, kiedy do płatków Księżycowego Kwiatu doda się inne składniki, lecz trzeba go wypić w ciągu kilku godzin od przygotowania. Muszę ruszyć na obchód i roznieść lekarstwo, nawet jeśli będę musiała to zrobić sama.

Syreny nadal wyją. W oddali słychać krzyki. Obudzą pół sektora. Mój oddech zmienia się w rżenie. Przed oczami mam postać księcia Corricka, wezwanego, by rozprawić się ze zdrajcą. Wartownicy nie są delikatni. Uśmiech Westona zmieni się w grymas bólu. Nawet tu będę słyszeć jego wrzask. Będą kalczyć jego ciało małeńkimi nożami, najmniejszymi, jakie sobie można wyobrazić. Będą mu wkładać żarzące się węgle do ust.

Rzuca go żywcem na pożarcie królewskim lwom. Będą przypalać po kolei ręce i nogi, aż straci przytomność z...

– Na Boga, Tesso, już w ogóle nie jestem ci potrzebny.

Z okrzykiem przerażenia przewracam kolejną czarękę. Jest. Stoi w drzwiach. Z błyskiem w błękitnych tęczęwkach pod maską, z beztroskim uśmiechem na ustach.

Widząc bałagan, jakiego narobiłam, Weston przewraca oczami.

– Może jednak jestem. – Podchodzi do stołu i stawia czarękę.
– Był w niej już proszek?

Nie wiem, czy chcę go przytulić, czy mu przyłożyć. Może jedno i drugie.

– Spóźniłeś się. Słyszałam syreny. Myślałam... myślałam, że cię złapali.

– Nie dziś. – Wyciąga ze swojej torby pakunki z płatkami, potem trzy jabłka i kawałek jeszcze ciepłego ciasta posypanego cukrem. – Proszę. Piekarz był zajęty utyskiwaniem na córkę, więc zwinąłem trochę jedzenia.

Spóźnił się, żeby przynieść mi śniadanie. I to jakie śniadanie. Trudno wyobrazić sobie coś smaczniejszego niż przysmaki z Sektora Królewskiego. Jabłka są nadziewane miodem, ciasto pieczone na prawdziwym maśle, przekładane śmietanką, posypane cukrem.

Otwieram usta. Zamykam. Marszczę brwi i odwracam się. Znów mam ściśnięte gardło, ale z zupełnie innego powodu.

– To bardzo miło z twojej strony, Weston.

– „To bardzo miło z twojej strony”? – obrusza się. – Chyba jesteśmy dziś nie w sosie.

– Muszę dokończyć eliksir.

– Ja dokończę. Ty zjedz.

– Zaraz zjem.

Nadal słyszać wycie syren po drugiej stronie muru, ale teraz mogę się już nimi nie przejmować. To pewnie kolejny przemytnik. Jutro prawdopodobnie zobaczymy jego skórę wywieszoną

przy bramie, kiedy król i jego brat skończą się znęcać nad jego ciałem.

– Jak chcesz.

Weston bierze jabłko i rozsiada na jedynym krześle, opierając nogi na stole. Ma kapelusz z szerokim rondem i maskę, która zakrywa twarz na wysokości oczu. Jednak teraz, w chacie, kapelusz odsunął w tył. Oświeśla go tylko blask ognia z pieca. Nie jestem w stanie nawet stwierdzić, jakiego koloru ma włosy. Zwykle jest nieogolony. Gdy siedzi blisko świecy, jego delikatny zarost wydaje się rudobrązowy – w kolorze piegów, jakie widać na krawędziach maski. Skórę wokół oczu ma wysmarowaną węglem lub sadzą, przez co błękit tęczówek jest wyjątkowo jasny. Nigdy nie widziałam takich oczu. Ja mam orzechowozielone, a do tego brązowe włosy zaplecione w ciasny warkocz ukryty pod kapeluszem. Wes mówi zawsze, że w mojej masce i czarnej kurtce wyglądam jak kot. Kiedyś, w przypiływie śmiałości i pewności siebie, powiedziałam mu, że powinien zobaczyć mnie bez przebrania, żeby wiedział, jak wygląda młoda kobieta, lecz natychmiast spoważniał.

– Nigdy – powiedział. – To zbyt niebezpieczne. Gdybyśmy wiedzieli, jak wygląda drugie, moglibyśmy zdradzić to na torturach. Nie zrobię ci tego. – Urwał. – I nie chcę, żebyś ty zrobiła to mnie.

Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że naprawdę wcale nie nazywa się Weston Lark. On pewnie myśli, że Tessa Cade też jest wymyślona, ale nie jest. Poznaliśmy się dwa lata temu, w chwili gdy na moich oczach zginęli moi rodzice, a ja byłam zbyt zrozpaczona, by wymyślić fałszywe nazwisko.

– Jesteś dziś milcząca – odzywa się Wes. Głośno gryzie jabłko. Mam ochotę wyrwać mu je z dłoni. – Coś się stało?

– Nie. – Wlewam gotowy eliksir do buteleczek. Zwykle on to robi. Potem znów nalewam wodę do czarek i zaczynam cały proces od nowa.

Za plecami słyszę, jak wstaje z krzesła. Podchodzi do mnie tak blisko, że czuję jego zapach. Pachnie lasem i cynamonem z piekarni – ale też czymś innym, cięższym, czymś, co nie pozwala mieć wątpliwości, że to Wes.

– Tesso.

Uśmiecham się z zadowoleniem, słysząc jęk, kiedy daję mu kuksańca w brzuch.

– A to za co? – mówi z wyrzutem.

– Za to, że przez ciebie się martwiłam.

– Przecież przyniosłem ci śniadanie.

Jego głos, głęboki i silny, słyszę tuż za plecami.

Ignoruję go.

Pochyla się tak blisko, że czuję jego oddech na odsłoniętym fragmencie szyi między włosami a wysokim kołnierzem kurtki. Przed moimi oczami pojawia się jabłko oplecione jego długimi palcami.

– To naprawdę *pyszne* śniadanie – kusi.

Biorę jabłko. Jest oprószone cukrem. Ciepłe w dotyku. Zastanawiam się, czy miód w środku też jest ciepły.

Wbrew sobie gryzę. Miód rzeczywiście jest ciepły.

– Nienawidzę cię – mamroczę z pełnymi ustami.

– To nawet lepiej. – Przesuwa mój kapelusz parę centymetrów do góry i uśmiecha się szeroko. – Jedz szybko – dodaje. – Robota czeka.